№ 39. Warszawa, dnia 14 (26) Września 1885 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

OD REDAKCYI.

W przyszłym kwartale **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Prenumerata, którą najlepiej uskutecznić za pośrednictwem samej Redakcyi, wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . **rs. 2 kop. 50**
Półrocznie . . . **rs. 5**
Rocznie. . . . . **rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie. . . . **rs. 1 k. 25**
Półrocznie . . . . **rs. 2 k. 50**
Rocznie . . . . . **rs. 5**

Nadmieniamy wreszcie, że przez Prenumeratorów tak **Tygodnika Mód** jak i **Przyjaciela Dzieci**, wychodzące zbiorowe wydawnictwo wszystkich dzieł A. Wilczyńskiego, autora **Kłopotów starego Komendanta**, po zniżonej cenie może być nabywane z opłatą za tom kop. 60. Dotąd wyszło ich 8, w ciągu roku wydanych zostanie 12. We wszystkich mieszczących się w nich opowiadaniach, widnieje szczery, niewymuszony, prawdziwie staropolski humor, z ową wrodzoną nam dobrodusznością, nader zręcznie przedstawioną.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr **3.**

Czarna godzina.

Zapytany o zdanie, w najbardziej nas obchodzącej kwestyi ekonomicznej, jeden z krańcowych pesymistów, odezwał się w ten sposób:

„Jeżeli my, ludzie tak zwanej, średniej klasy, chcemy posiąść pewne widoki spokojnej starości, wolnej od trosk i niedostatku, powinniśmy chodzić boso, mieszkać w suterynie lub na strychu, nie trzymać sług i żywić się czarnym chlebem, przeplatanym dla rozmaitości kartoflami, grochem, kapustą i t. p." Wrażenie tych słów, nawiasem mówiąc, wygłoszonych bardzo nie w porę na jednym z wieczorków zeszłego karnawału, było fatalne. Niby baltazarowe: *mane, tekel* odbiło się na twarzach rozpromienionych biesiadników, wstających właśnie od stołu; wszyscy pobledli, ten i ów chwycił za kapelusz, aby nieznacznie się wysunąć. Biały mazur, zwykle tak ochoczy, zrobił *fiasco*, damy były znużone, tancerzom zabrakło energii i chęci do dalszéj zabawy, a *Fikalski* zniknął jak kamfora. Łatwo się domyślić że nie błogosławiono dziwaka, który swą mową popsuł humor towarzystwa. Zastanowiwszy się jednak, musimy przyjść do wniosku, że rada wypowiedziana w brutalny nieco sposób, ma, niestety, dużo słuszności za sobą.

Zacząwszy od najniższych warstw społecznych, idąc coraz wyżej, wszyscy żyjemy nad stan, a niewłaściwy ten rodzaj egzystencyi stał się naszą potrzebą, nawyknieniem, nałogiem, naturą niemal.

Wydajemy cały nasz zarobek (i to w najlepszym razie, jeżeli dla wyrównania budżetu nie dopożyczamy drugie tyle). Sposób prowadzenia domu, urządzenie mieszkania, garderoba, wszystko to, nawet w przybliżonym stosunku nie odpowiada funduszom jakiemi rozporządzamy.

Nie myślimy tu nawet zasięgać świadectwa cyfr, są to fakta niewątpliwe, których nikt zaprzeczyć nie byłby w możności.

Dziś—aby dziś! oto nasze hasło—francuzkie *après nous le déluge!* udzieliło się naszym umysłom, zagłuszyło refleksyę, przytępiło instynkt zachowawczy, który przecież ostrzedzby nas powinien.

Szyk, pozory świetności dla olśnienia sąsiadów i znajomych, oto jedyny cel naszych starań i troski; męczymy się i wysilamy, by lepiej od drugich prezentować się dla oka, wiedzimy życie zgryzot pełne, lecz w zamian za zgryzoty, mamy ładny lokal, przyzwoitą służbę, smaczny obiad i eleganckie ubranie.

Dziś—tylko dziś!....

A jutro?

I któżby taką błahostką zaprzątał sobie głowę—mając dość kłopotów, potrzebaż jeszcze myśléć o tych, jakie nas czekają kiedyś—w przyszłości? Nie dbajmy o nie, gdy przyjdą, same o tem znać dadzą, w wymowny a właściwy sobie sposób.

Czy ojcowie rodzin posiadający dziś odpowiednie utrzymanie zastanawiają się nad przyszłością swych dzieci w razie, gdyby wkrótce zostały sierotami; czy przyjdzie im czasem do głowy myśl przykra, ale bardzo prawdopodobna, że mogą utracić zajmowaną posadę, albo co gorsza, zdrowie?... Któżby chciał w ten sposób życie sobie zatruwać, odpowie każdy, po co gnębić się dobrowolnie bez słusznej przyczyny.

O! nie, bynajmniej; przyczyna istnieje w naszem usposobieniu do lekkomyślności, do życia nad stan, do wydatków przechodzących fundusze.

Dopóki mąż i ojciec, głowa rodziny, znajduje się przy życiu, dopóki rozporządza całym zapasem sił i zdrowia, naciągnięte struny sztucznego dobrobytu trzymają się imponując fałszywe blaski. Ale za to, gdy los spłata figla, w postaci dymisyi, lub gdy śmierć zajrzy w te złocone progi, strach bierze pomyśléć, jak ciężkim bywa los podobnych rodzin. Nie zdążywszy urządzić wyprzedaży córek więcej dającemu, i synów wykierować na ludzi, pozostają niby rozbitki okrętu, który rozerwała burza i uniosła na falach. Z tego samego źródła wypływa niecna frymarka uczuciami, której następstwem tyle niestosownych związków, zdrad, przeniewierzeń i niegodziwości.

Tak—mamy przed sobą przepaść czarną, bezdenną, w którą staczamy się zwolna; czyż więc poznawszy niebezpieczeństwo jakie nam grozi, nie jest naszym obowiązkiem ratować się, gdy czas jeszcze.

Jedynym sposobem, jedynym środkiem przeciw ostateczności nieuniknionej a fatalnej, jest oszczędność i ścisły rachunek w wydatkach, które koniecznie ograniczone być powinny. Mozolna to i ciężka droga, ale prosto do celu prowadząca, nie zawiedzie nas, gdy wstąpiwszy na nią, stale trzymać się jej zechcemy.

Myśl *o czarnej godzinie* jaką bywa choroba, wypadek w domu, utrata zarobku i t. p., niech nam będzie pochodnią w tej ciężkiej wędrówce, przewodnikiem i mentorem, pokrzepieniem i siłą.

Drobne, groszowe oszczędności są specyalnością kobiet, nie gardźmy niemi—z groszy powstają tysiące.—Im kto mniejszym rozporządza funduszem, tem mniej odłożyć z niego jest w możności, odkładajmy jednak. Gdy potrzeba zrobić jaki sprawunek, ograniczajmy go o ile możności, gdy przyjdzie nam ochota zabawić się, odłóżmy kwotę odpowiadającą rodzajowi rozrywki nam właściwej, od osobistych przyjemności jakiemi są: palenie, teatr, koncert, cukiernia i jej łakocie; składajmy procent na rachunek *czarnej godziny*, jeżeli już zupełnie wyrzec się ich nie możemy.

Niech każda z rodzin zaprowadzi u siebie kasę oszczędności; faktem jest, że nie ma funduszów tak małych, by z nich cośkolwiek odłożyć nie było można; uczestnikami tej kasy niech będą dzieci od lat najmłodszych, na równi z rodzicami, bo gdy się raz tej cnoty nauczą, nie opuści ich ona przez całą drogę życia.

Oszczędzajmy na wszystkiem, mało się troszcząc, że rezultaty drobnemi z pozoru wydawać się mogą; są one wielkie, gdy liczbę lat weźmiemy na uwagę.

Czyżby istniały legiony nędzarzy wstydzących się żebrać, gdyby każdy z tych ludzi pamiętał o przyszłości, rachował się z funduszami, wówczas gdy je posiadał? Jakże odmienną byłaby ich dola, dziś tak ciężka, niestety! Posiadając chociażby małe tylko oszczędności, bardzo łatwo dalibyśmy sobie radę, podczas gdy dziś, staciwszy siły a z niemi sposób do utrzymania życia, stają się ciężarem społeczeństwa, zamiast być jego czynnemi członkami.

Nie potrzeba więc, jak radzi ów pesymista, chodzić boso, obywać się bez sług, mieszkać w suterynie i karmić się czarnym chlebem; należy tylko w każdej chwili życia, w powodzeniu i pomyślności pamiętać o *czarnej godzinie*.

Myśl ta wyzwoli nas z niejednego przesądu, uprości i ułatwi tryb życia, utrzyma na właściwem stanowisku, nie dozwalając piąć się wysoko, zkąd tylko spaść możemy.

NADCHODZI JESIEŃ.

Nadchodzi jesień... już straszne jej znamię,
Na każdym listku i na każdym kwiatku,
W najdziwaczniejsze kontury się łamie,
Groźbą zniszczenia i groźbą upadku.

Nadchodzi jesień... dzieweczka co w różę,
Stroiła główki swej klasyczne linie,
Wzrok rozżalony zwraca ku naturze,
Widząc w ogrodzie same georginie.

Nadchodzi jesień... pod jej chmurnym wpływem,
Myśli drętwieją, krew zastyga w żyle;
Jednak lubimy w uniesieniu tkliwem,
Wspominać fiołki, róże i motyle,
I piękne, jasne te wiosenne chwile,
Co nas dotychczas przejmują podziwem.

Emilia.

DWA OGNISKA DOMOWE.

PRZEZ

AUTORKĘ „JOHNA HALIFAKSA".

Przełożyła z angielskiego

Zofia Bogumiła.

(Dokończenie.)

Ze żona chciała wyśledzić to, co on przed nią ukryć usiłował, było to w jego oczach ciężką winą; ale że się poważyła użyć do szpiegowania go służących, żadna ziemska siła nie była zdolna skłonić wyniosłego lorda do przebaczenia takiego postępku.

Żona w rozpaczy błagała Emilii, aby użyła swego wpływu na złagodzenie jego niezłomnej woli, gdyż sir Franciszek zawsze cenił wysoko kuzynkę żony.

Emilia udała się do niego w tym celu, wzruszyła go nawet swemi słowami, jak można było sądzić po całem jego zachowaniu się. Przyjął od niej więcej niż od kogokolwiek innego; mężczyzna bowiem nieraz ulegnie chętnie szlachetnej, myślącej kobiecie, wtedy nawet, kiedy sobie nie da słowa powiedzieć przez innego mężczyznę. Emilia przemawiała za Izabelą, przedstawiała jej boleść i żal głęboki; ale wszystko to nie zdołało wzruszyć sir Franciszka. Mówiła wreszcie o dziecku: na wspomnienie syna, usta Franciszka zadrżały.

— Nie odbieraj jej dziecka przynajmniej! Biednej Izabeli serce by pękło, po stracie męża i syna.

— Mrs. Wolferstan! chcę być sprawiedliwym względem siebie, ale też i dla niej nie będę okrutnym. Nie odbiorę matce dziecięcia. Choć i mnie ciężko, o! strasznie ciężko, porzucać mego jedynaka!

I głos ojca zadrżał, tak że Emilia ubolewając nad jego postępowaniem, niemniej jednak czuła litość nad tym surowym, nieugiętym, a złamanym boleścią człowiekiem. Sir Franciszek tak dalej mówił:

— Skoro się rozłączymy z lady Izabelą, pragnę, aby świat jak można najmniej wiedział o tem. Zachowajcie tajemnicę, lub wynajdźcie jaką chcecie przyczynę, ale nie rzucajcie najmniejszego cienia na jej dobrą sławę ani na moją.

— Izabela nie ma się czego lękać — odpowiedziała Emilia — ale pan.

Sir Franciszek wyprostował się dumnie.

— Ani ja! mrs. Wolferstan. Kobiecie, która nizkiemi podejrzeniami ubliża mężowi, nie należy się tłomaczenie żadne; ale ja winien jestem sobie samemu; pragnę też, abyś pani wiedziała, że kuzynka twoja była w błędzie, żem się nigdy nie poniżył tak niecnym nałogiem, jak szulerstwo i że owa noc, którą przepędziłem jak na męczarni śród scen, jakiemi się brzydzę, poświęcona była usiłowaniom ocalenia przyjaciela od ostatniej ruiny, przyjaciela, którego kocham jak brata. Teraz proszę mnie sądzić.

Emilia mogła tylko boleć nad tem, że lekka chmura zawisła na horyzoncie małżeńskiego ich życia, tak zaćmiła wzrok obojga. Ale już się stało; dziś żaden rozjemca nie zdoła przywołać zrażonej miłości.

Raz tylko sir Franciszek spotkał się z żoną, a było to przy podpisywaniu urzędowego aktu. Chłodny ukłon zamienili wzajemnie, oni, co się kiedyś tak czule kochali! Sir Franciszek zachował dawny chłód i spokój; lady Izabela usiłowała również utrzymać zimną krew, a podniecenie nerwowe dodało jej siły. Gdy Lester położył swój podpis na nieszczęsnym pargaminie, ojciec przyprowadził Izabelę do stołu. Rzuciła jeszcze jedno błagalne, rozpaczliwe spojrzenie na męża; on jednak zdawał się spokojny i nieugięty, jak kamień: wszelka nadzieja stracona! Izabela wzięła pióro, podpisała swoje nazwisko, w tejże chwili ręce jej zesztywniały, głowa opadła, całe ciało utraciło władzę i bez westchnienia, bez jęku, padła zemdlona. Ale on już wyszedł z pokoju.

Stało się: sir Franciszek wyjechał za granicę, a biedna, młoda kobieta, osierocona przez własną swą winę pozostała sama. Gdyby nie dziecię, co jej pozostało, co się tuliło do jej piersi i patrzyło na nią oczętami tak podobnemi do utraconego mę-

ża, Izabela byłaby chyba straciła zmysły. Wspaniały pałac zamknięto, a ona zamieszkała na nowo dom rodzicielski, który opuszczała przed kilku laty, jako piękna i szczęśliwa oblubienica. Ale i tutaj podążyło za nią kochające serce Emilii, a jej troskliwa opieka zrobiła tyle, że Izabela stawała się z dniem każdym spokojniejszą, lepszą, rozumniejszą, pod zbawiennym wpływem siostry.

Ścieżka życia Emilii nie była także bez cierni. W pierwszej chwili, młoda kobieta dzielnie stawiła czoło ubóstwu, gdyż sama nieświadomość natchnęła ją męztwem. Teraz przekonała się z doświadczenia, ile mają w sobie goryczy te na pozór drobne, a tak gryzące troski i kłopoty, które przywykłym do wygód i dostatków, jeszcze boleśniej czuć się dają. Ponure widmo ubóstwa, które Emilia zrazu odepchnęła tak wesoło i odważnie, mściło się teraz na biednej kobiecie, odbierając jej wszelkiemi sposobami spokój i swobodę życia. Z czasem jednak nauczyła się lepiej znosić i mniej odczuwać to wszystko; balsamem na wszelkie troski było dla niej przeświadczenie, jak bardzo jest przez męża kochaną i cenioną, jako dobra i cnotliwa żona „której cena nad drogie kamienie i złoto." I tak z dnia na dzień serca ich łączyły się coraz to ściślejszym węzłem. Ona z ochotnem posłuszeństwem, ustępowała, gdzie należało ustąpić; on kierował nią i otaczał opieką, jaką silniejszy winien słabszej istocie, a w związku tym żadne nie walczyło o pierwszeństwo, chyba we wzajemnych dowodach miłości.

Przez dwa lata tylko Emilia skazaną była na troski i kłopoty niedostatku. Sumienie odezwało się, brat, którego występek spowodował ich niedolę, umierając, zwrócił całą sumę przywłaszczoną pokrzywdzonemu patronowi swemu; a że ten był człowiekiem prawym, więc i z Henrykiem Wolferstan sumiennie postąpił. Odzyskawszy dawniejsze dochody, Henrykowie porzucili mały domek, gdzie Emilia odbyła ciężką ubóstwa szkołę i powrócili do tejże samej miłej i dostatniej siedziby, w której progi wchodziła po raz pierwszy jako oblubienica.

I znowu kilka lat ubiegło; zobaczymy teraz Emilię w pełni kobiecej i macierzyńskiej godności.

Było to w skwarny dzień letni; przez weneckie okno przy którem siedziała, dolatywała woń róż kwitnących w ogrodzie. Brzęczenie pszczółek śród liści morwowych, odrywało miłą Lilijkę od abecadła i nęciło do ulubionych w cieniu drzew igraszek. Dziewczynka spoglądała z zajęciem na braciszka rówiennika, Sydneya Lester, który pląsał wesoło śród kwiatów na drewnianym koniku, a wszelkie usiłowania i napomnienia matki, nie zdołały przywołać jej uwagi, aż nagle gość jakiś przerwał szczęściem naukę. Lili wybiegła na ogród, gość nie anonsowany wszedł do saloniku, a Emilia poznała w nim: sir Franciszka Lester.

Nie widziała go od owego dnia podpisania aktu separacyi; czas, podróże, a może też i moralne cierpienia zmieniły go bardzo. Wyglądał teraz jak człowiek, który się już dawno z wiosną życia rozstał; włosy przyprószyła mu siwizna, a postawa jego utraciła dawną wyniosłość. Gdy przemówił, dostrzegła w głosie jego niezwykłą jakąś miękkość; może wywołał ją widok wzruszenia Emilii za jego nagłem i niespodziewanem ukazaniem się.

Mówił, że przybywa do Anglii z powodu ważnych interesów, że wraca wkrótce do Włoch, ale nie chce odjechać bez widzenia się z mrs. Wolferstan. Po niejakiej chwili spytał o chłopca swego, potem o żonę, ale bardzo urzędownie.

Tak rozmawiając poszedł ku oknu. Tu uderzył go widok, na który cofnął się zmieszany. Odwrócił się szybko i chciał odejść.

— Daruj pani! sądziłem... słyszałem... że lady Lester jest na wsi.

— Wróciła dziś dopiero z małym Sydneyem, ale nieśmiałam powiedzieć panu, że są tutaj—odpowiedziała Emilia łagodnie.

— To mój syn! — zawołał — muszę go zobaczyć. I oczy ojcowskie zwróciły się chciwie w tę stronę, gdzie Sydney stojac na ławce i trzymając się różową rączką za szyję matki, rwał liście morwowe, gdzie ich mógł dosięgnąć. Na ławce siedziała Izabela, nie owa świetna Izabela dawniejsza, ale cicha, zadumana, przygnębiona; nawet promień macierzyńskiej miłości nie zdołał spędzić z jej czoła cichego a ciągłego smutku.

Nie domyślała się w tej chwili, czyje oczy były na nią zwrócone.

— Muszę poznać mego małego — przemówił wreszcie sir Franciszek zmienionym, złamanym głosem. — Przyprowadź mi go pani, proszę.

— O! właśnie tu idą — odpowiedziała Emilia.

— Ja się usunę do przyległego pokoju, nie mogę, nie chcę się z nią widzieć.

I sir Lester z dawnym swym lodowatym chłodem wyszedł właśnie w chwili, kiedy żona jego z dziecięciem miała wejść do pokoju.

— Sydney, chodź ze mną do biblioteki — zawołała Emilia, schylając się do dziecka, dla ukrycia pomieszania swego. — Jest tam ktoś co cię chce widzieć.

— Kto taki? — spytała lady Lester.

— Dawny znajomy, to jest, ktoś obcy — poprawiła się prędko Emilia, tak nie nawykła do ukrywania się z czemkolwiek, że kuzynka odrazu odgadła całą prawdę. Zadrżała gwałtownie i usiadła, ale kiedy Emilia wziąwszy za rączkę Sydneya, chciała go wyprowadzić, matka oparła się temu:

— Nie! Emilio, ty mnie zwieść nie potrafisz — rzekła z mocą. — Wiem o co chodzi. I nie kto inny, tylko matka przedstawi ojcu Sydneya.

Wzięła chłopczynę na ręce, pozwoliła Emilii drzwi sobie otworzyć, weszła i zamknęła je za sobą.

Przez pół godziny, które się dniem wydało, siedziała Emilia sama, czekając skutków tego spotkania, od którego radość lub smutek, życie lub śmierć zawisły. Nie słyszała wcale głosów, cicho było w bibliotece. Zaledwie śmiała łudzić się nadzieją, nie umiała własnych myśli rozplątać; tylko jej serce kochające wzniosło się do Boga w bezsłownem westchnieniu, tak niewyraźnem, że go nawet modlitwą nazwać nie można. Nareszcie głosik dziecinny ozwał się z biblioteki, wołając głośno i z trwogą:

— Cioeiu Emilko! Cioeiu Emilko! chodź prędzej! chodź!

Mrs. Wolferstan weszła ze drżeniem.

Izabela była zemdlona, ale padła w objęcia męża; głowa jej spoczęła na jego ramieniu, a na jej biedne, blade lica spływały grube łzy z poważnych oczu sir Franciszka Lester.

Pojednali się. Miłość zwyciężyła dumę, gniew i upór; mąż i żona połączyli się znowu z uczuciem wcale różnem od szału oblubieńców, bo wypróbowanem w ogniu cierpienia, z którego wyszła oczyszczona, jak złoto, miłość cierpliwa, stała, wytrwałości pełna.

W domu, do którego sir Franciszek zawiózł znowu kochającą i zasłużenie kochaną żonę, nie było już później dawnego chłodu, ponurego znudzenia i osobnienia. Może i to się przyczyniło do spokoju pojednanej pary, że matka sir Franciszka, która bezwątpienia źle wpływała na syna, będąc jemu i żonie jego matką tylko z imienia, spoczywała już teraz pod marmurowym pomnikiem, tak zimnym, wspaniałym i wyniosłym, jaką sama była w całem życiu swojem.

Zupełnego szczęścia nie masz na świecie, ale jeśli może być niebo na ziemi, znajdziemy je pewno nie gdzie indziej, tylko przy szczęśliwem ognisku domowem, gdzie miłość, nie już owa romantyczna, szalona, ale silna, głęboka, uświęcająca codzienne życie, przyświeca i wszystko przenika.

Spojrzyjmy raz ostatni na te dwa znajome nam małżeństwa, ubłogosławione na resztę życia, tym słonecznym szczęścia promieniem.

OSTATNIA WYPRAWA AMERYKAŃSKA
DO
PÓŁNOCNEGO BIEGUNA.

Wedle danych, zaczerpniętych z dzieła

W. de Fonville,

ułożył

B. Z. P.

Od czasu nieszczęśliwie zakończonej wyprawy kapitana Franklina, zmniejszyła się znacznie liczba ochotników, usiłujących zbadać tajemnice północnego bieguna. Przez jakiś czas wysyłano wprawdzie okręty, ale nie w naukowych celach, tylko dla odszukania dzielnego marynarza; gdy jednak takowe powracały bez osiągnięcia powziętego zamiaru, a wyłożone koszta przeniosły ogromną sumę milion funtów szterlingów, Wielka Brytania mimo posiadanego bogactwa, uznała dalszy wydatek tego rodzaju za zbyt uciążliwy i postanowiwszy zapomnieć o lodowych okolicach, chciała zwrócić wszystkie usiłowania ku miejscowościom, zapewniającym łatwy zbyt dla angielskich wyrobów. Prawdopodobnie zapatrywanie takie byłoby się długo utrzymało, gdyby nie Zjednoczone Stany północnej Ameryki, pragnące od jakiegoś przynajmniej czasu, na polu naukowem zdobyczy zająć w świecie pierwszorzędne miejsce. Jak więc tylko dawna ich nieprzyjaciołka, Anglia, opuściła bezwładnie dłonie, usuwając na stronę badania tajemnic północnego bieguna, natychmiast amerykanie zajęli jej miejsce, nie szczędząc wydatków dla okrycia swej ojczyzny blaskiem zasłużonej sławy. Międzynarodowa zazdrość, skierowana właściwie, daje niezaprzeczony pożytek.

Rodzaj ludzki dla przyczyn, które nie prędko będą objaśnione, obowiązany jest odkrywać prawa dotyczące tak całej przyrody, jakoteż i własnego swego rozwoju.

Pojedyńczy ludzie, poświęcający częstokroć żywot swój dla rozwoju nauki, są objawem zgodności wrodzonego popędu z celem naznaczonym nam przez Opatrzność. Usiłowania w tym kierunku są nieustanne, a jeżeli astronomowie zbrojni jedynie w przybliżające szkła, usiłują objaśnić znajdujące się na Marsie lodowate bieguny, czyż więc że-

glarze i geograficzne towarzystwa, mogą spuścić z uwagi miejscowości, bedące tuż obok nich, których jeszcze stopa ludzka nie dotknęła. Ocean Lodowaty zaciekawiał i zaciekawia do dnia dzisiejszego tem bardziej, że wedle zebranej tradycyi między Eskimosami i niektóremi plemionami zamieszkującemi Syberyą, po za zmarzniętą opoką oceanu, znajduje się morze wolne, rośliny, zwierzęta, a nareszcie ludzie, podobni zupełnie do innych mieszkańców kuli ziemskiej. Humboldt wspomina o podaniu dotyczącem bieguna, wedle którego ma to być ogromnej wielkości otwór wiodący do środka naszej planety, oświetlony przez magnetyczne gwiazdy i zaludniony zarówno jak zewnętrzna powierzchnia ziemi.

Pomijając podobne twierdzenia, jako odznaczone zbyt bujną wyobraźnią ich twórców, poznanie północnego bieguna da niezaprzeczenie wielkie korzyści dla nauki. Wiadomość czy na dwóch przeciwnych płaszczyznach kuli ziemskiej są lody czy wolne morze, rzuci podstawę dla meteorologii: odkrytych być może przytem wiele nieznanych dotychczas kopalnych zasobów, jak to miało miejsce z kamiennym węglem, napotykanym w najbardziej posuniętych w tym kierunku okolicach. Widocznie tam, gdzie dzisiaj nie ma nic prócz wysokich gór lodu, panowało kiedyś bujne życie roślinne a może i zwierzęce, którego zabytki dozwolą rozwiązać niejedną dzisiaj jeszcze niewytłomaczoną zagadkę. Zbadanie temperatury na samym biegunie i porównanie czynionych w tej mierze długich spostrzeżeń, objaśni ważną kwestyą, dotyczącą wewnętrznego ciepła ziemi, mianowicie: czy takowe stopniowo zwiększa się, biorąc od powierzchni, czy też pozostaje niezmiennem?

Dotychczasowe rozumowania dotyczące jej oziębiania i nieuniknionego tym sposobem zamienienia w ciało martwe, niespoczywają na żadnych naukowych dowodach i są niczem innem tylko mniej więcej prawdopodobnym domysłem. Względy te i wiele jeszcze innych niewymienionych, były i są aż nadto dostatecznym powodem, do międzynarodowego współzawodnictwa, wybornie opisanego przez Juliusza Verne w jednem ze swych opowiadań.

Należąc do jednej wyprawy anglik i amerykanin, dokładają wszelkich usiłowań, z widocznem narażeniem życia, aby tylko każdy z nich pierwszy mógł dotknąć punktu centralnego bieguna.

Nie śmiemy twierdzić, aby dramatyczne opowiadanie wypadków bujnej wyobraźni Verna, miało wpłynąć na postanowienia europejskich rządów; odmalował on tylko wiernie uczucia dotyczące miłości własnej każdego narodu. Mimo tego napisana przez niego powieść, była zwiastunem nowych wypraw, urządzonych już nietylko staraniem amerykanów i anglików, ale i austryaków, niemców, francuzów i szwedów.

Jednocześnie, dzięki porucznikowi Weyprecht i hr. Wilzeck, zaszła zupełna zmiana w dotyczących tego przedmiotu wyobrażeniach. Należeli oni do wyprawy również jak i inne zakończonej nieszczęśliwie, mimo danych przez całą załogę okrętu niezaprzeczonych dowodów poświęcenia. Po rozważeniu wszystkich szczegółów towarzyszących odbytej podróży, nabrali przekonania o konieczności połączenia w jednym celu usiłowań wszystkich bez wyjątku, ucywilizowanych narodów.

W tym celu powstała myśl urządzania międzynarodowych zjazdów uczonych, a rządy ucywilizowanych państw nie chcąc pozostać w tyle, objawiły gotowość do zawarcia nieznanego dotychczas przymierza, w celu rozwiązania wspólnemi siłami niewytłomaczonej zagadki, dotyczącej północnego bieguna. W miesiącu Sierpniu 1875 roku, myśl rzucona przez porucznika marynarki Weyprechta i hrabiego Wilzeck, znalazła swe urzeczywistnienie. Przy wspólnym stole w Kopenhadze, zasiedli rządowi delegaci wszystkich państw europejskich i po wspólnej naradzie, oznaczono dwanaście stanowisk, których urządzenie przyjęły na siebie następujące mocarstwa: Anglia, Stany Zjednoczone, Niemcy, Holandya, Szwecya, Norwegia a nareszcie i Francya, chociaż ta po doznanych klęskach wojennych nie chciała początkowo przyjmować udziału w zamierzonych pracach.

Tym sposobem biegun północny zaatakowany został z dwóch stron, ze stałym zamiarem odkrycia właściwej mu tajemnicy. Stany Zjednoczone zajęły stanowisko naczelne, posuwając najdalej podstawę swego działania, dającą tym sposobem rękojmię większego powodzenia na polu zamierzonych badań. Później kongres dotyczący północnego bieguna, odbył dwa jeszcze posiedzenia, mianowicie w roku 1880 i w roku 1881, a następnie odroczył dalsze zebranie, aż do otrzymania sprawozdań z uskutecznionych wypraw.

Niezmordowani amerykanie, zasławszy kościami swemi drogę wiodącą do północnego bieguna, odpowiedzieli godnie położonemu w nich zaufaniu.

Jeszcze przed zwołaniem międzynarodowego kongresu, postanowili urządzić naukową kolonię w zatoce lady Franklin i naczelny kierunek tego dzieła powierzyli kapitanowi Howgate.

Ponieważ niektórzy należący do wyprawy zamierzyli pozostać długi czas w tej okolicy, zabrali więc z sobą żony i dzieci, co było źródłem późniejszych niesnasek i zwichnęło całe przedsięwzięcie. W każdym jednak razie, choć zbyt wielkim kosztem, zebrane doświadczenie nie było stracone, dozwalające w przyszłości uniknąć popełnionych omyłek a natomiast korzystać z nowych pomysłów, których praktyczność stwierdzoną została w niewątpliwy sposób.

Skoro więc skutkiem międzynarodowego zjazdu rządowych pełnomocników, kongres Stanów Zjednoczonych przeznaczył odpowiednią kwotę pieniężną dla urządzenia nowej wyprawy, postanowiono naczelny kierunek oddać jenerałowi Hazen dowodzącemu korpusem sygnałów wojskowych i wzbronić stanowczo przystępu na okręt kobietom i dzieciom.

Korpus sygnałów wojskowych, rzecz zupełnie nieznana w Europie, wymaga kilka słów objaśnienia.

W czasie wojny północnych Stanów Ameryki z południowemi, ustawiony był ze strony pierwszych odrębny korpus, dla przesyłania wojennych rozkazów tak drogą elektrycznego telegrafu, jakoteż przez wywieszanie odpowiednich znaków.

Korpus ten dowodzony przez jenerała Myers, dał dowody wielkiego pożytku i poświęcenia, przyczyniając się przez zapewnioną szybkość poruszeń do odniesienia niejednego zwycięztwa. Po zawartym pokoju nie był rozwiązanym, ale z powodu oddanych usług, przy zachowaniu wojennej organizacyi, przeznaczono go do czynienia dalszych spostrzeżeń naukowych, szczególniej dotyczących meteorologii, w których trzeba prawdziwie wojskowej ścisłości, dla należytego spełnienia przyjętego obowiązku, bez względu na porę dnia, trzaskający mróz lub dokuczliwe gorąco. Przymioty te posiadał naukowy korpus wojenny w Ameryce, bardzo więc słusznie zlecono mu naczelny kierunek przyspasabianej wyprawy do bieguna.

Dowodzący tym korpusem jenerał Hazen, powołał na zwierzchnika przyszłej kolonii naukowej porucznika Greety, odznaczonego bardzo oficera w czasie przeprowadzania elektrycznego telegrafu przez ziemię należącą do indyan. Greety mianowany był majorem, ponieważ dwóch innych poruczników oddano pod jego rozkazy; prócz tego pewna liczba podoficerów ochotników, stanowiła okrętową załogę, jakoteż jeden kapral i sześciu żołnierzy. Wybierano najzdrowszych i najsilniejszych z pomiędzy zgłaszających się, a na takowych nie zbywało, pomimo udowodnionego już wielokrotnie, tyle groźnego niebezpieczeństwa.

O ile zwracano baczną uwagę na charakter i moralność podoficerów, o tyle lekceważono te względy w prostych żołnierzach, nie badano ich przeszłości i skutkiem tego zabrano z sobą niejakiego Johna rodem niemca, człowieka bardzo podejrzanego, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa szukał pod biegunem bezpiecznego schronienia, przed poszukiwaniem amerykańskiej policyi. Odznaczał on się wielkim wzrostem i ogromną siłą, co w miarę okoliczności mogło być pożytecznem lub szkodliwem dla naukowej kolonii.

O innych osobistościach, zajmujących w naukowej kolonii wybitniejsze stanowiska, będziemy mówić później, obecnie powiemy tylko, że cała wyprawa rozpoczęła się pod najpomyślniejszą wróżbą.

I.

W dniu 14 Czerwca 1881 roku, okręt z mianem Proteusz, posiadający załogę złożoną z trzydziestu ludzi, pod dowództwem majora Greety, ruszył w drogę.

Znaczna liczba odjeżdżających zostawiała rodziny, pożegnanie więc z młodemi małżonkami i drobną dziatwą było bardzo rzewne.

Robiono jednak przygotowania z dobrą myślą, żona dowódzcy, pani Greety, uszyła własnoręcznie jedwabny sztandar błękitnego koloru z trzynastoma gwiazdami, oznaczającemi pierwotną liczbę prowincyi, przystępujących do związku i do walki o niepodległość. Sztandar ten miał być wywieszony w okolicy najbardziej zbliżonej do bieguna, którą wyprawa osięgnąć potrafi. Jako dowód wzajemnej pamięci, pani Greety obiecała nakręcać zegar codziennie o godzinie 6 po południu, właśnie w tej samej chwili, w której major przyrzekł regulować zabrane z sobą chronometry. Żywność wzięto na 27 miesięcy, a duchowego pokarmu dostarczyli bezpłatnie księgarze i wydawcy z Nowego-Yorku i innych znaczniejszych miast północnej Ameryki.

Po dwudziestu dniach podróży, bez żadnego wypadku, wyprawa przybyła do Nowej Ziemi, zkąd udała się do Disco, w celu zabrania doktora Pary francuza, pragnącego gorąco być uczestnikiem zamierzonej wycieczki.

Zboczenie okrętu z właściwego kierunku dla zabrania jednego człowieka i do tego cudzoziemca, zasługuje na objaśnienie.

Kapitan de Long, jeden z dawniejszych dowódzców okrętowych, na dane mu zapytanie co do wyboru ludzi dla mającej zostawać pod jego rozkazami okrętowej załogi, odrzekł:

— Wybór narodowości jest mi zupełnie obojętnym, bo nie chcę zabierać z sobą ani dobrych francuzów lub włochów, ale dobrego kucharza, zręcznego cieślę, uczonego doktora i t. d.

Okręt też amerykański popłynął umyślnie wśród groźnych brył lodowych szukać doktora francuza.

Octaw Pary, który urodził się w Hawrze a średnie i wyższe nauki ukończył w Paryżu, pozyskawszy stopień doktora medycyny, zamierzył poświęcić się zbadaniu tajemnic północnego bieguna i jeden z pierwszych stanął pod rozkazami Gustawa Zamberta, który w ostatnich latach drugiego cesarstwa, chciał za pośrednictwem narodowej składki, urządzić wyprawę w tym kierunku. Wojna z Prusami w roku 1870, popsuła wszystko. Gustaw Lambert zginął pod murami Paryża, zostawiając zebraną przez siebie kwotę do rozporządzenia ministra marynarki. Owcześnie Francya nie mogła myśléć o przedsiewzięciach tego rodzaju i kupiony okręt Boreal, sprzedany został przez licytacyą. Zawiedziony w swych oczekiwaniach Octaw Pary, powziął niepodobny do wykonania zamiar, odbycia podróży do północnego bieguna bez okrętu za pośrednictwem psów i sani, obierając Syberyą za podstawę działania. Zwiedziwszy jednak tę krainę, a szczególniej brzegi Lodowatego oceanu, czyli rozpoznawszy stan rzeczy na miejscu, odstąpił od pierwotnej myśli i popłynął do Ameryki, gdzie zawiązawszy stosunek z organizatorem przyszłej kolonii podbiegunowej, udał się w północnym kierunku na okręcie zwanym Gulnare. Jakkolwiek wyprawa ta nie powiodła się, dozwoliła jednak doktorowi osiąść w Grenlandyi, w celu zbierania potrzebnych wiadomości dla dalszych wycieczek, zbadania właściwych krajowcom zwyczajów, nauczenia się języka eskimosów i znalezienia między niemi ochotników do uczestniczenia w zamierzonej wyprawie. Przedsiewzięcie to uwieńczone zostało zupełnem powodzeniem, przyjęty bardzo gościnnie przez mieszkańców, pozyskał wkrótce zupełne ich zaufanie i choć nie bez trudności, ale nakłonił dwóch młodych eskimosów: Fryderyka Chrystianzenet i Edwarda Jens, do przyjęcia udziału w podróży do bieguna. Trudność polegała głównie na tem, że chcieli oni zabrać z sobą młode swe małżonki, co było jak już wiemy, zabronionem stanowczo. Sam Octaw Pary na kilka tygodni przed wyjazdem do Grenlandyi, ożenił się z nauczycielką rządową w jednym ze środkowych Stanów północnej Ameryki, żądał więc od eskimosów takiej tylko ofiary, jakiej sam dał przykład. Odmawiali oni długo, ale nareszcie obietnica znacznego zwiększenia zapłaty, nakłoniła ich do porzucenia rodzinnego zaułku.

Trudniejsza jeszcze była sprawa z nabyciem psów, mających u grenlandczyków wielkie znaczenie.

Arab przenosi konia nad niejednego członka swej rodziny; grenlandczyk obdarza takiem samem uczuciem wiernego swego towarzysza. Strzeże go bardzo troskliwie, nie chce go nawet sprzedać za grube pieniądze, gdyż liczba psów na nieszczęście zmniejsza się, a byt mieszkańców bez tego rodzaju czworonogów byłby niepodobny. Czego jednak Pary nie mógł zrobić drogą zwykłego zakupna, to uskutecznił jako doktor za pośrednictwem oddanych przez siebie usług. Mając z sobą aptekę i konieczne instrumenta chirurgiczne, leczył chorych, a w razie potrzeby uskuteczniał operacye. Lekarska jego sława rozeszła się prędko po całej okolicy, z różnych stron przychodzono do niego po radę, niosąc jako nagrodę: skóry niedźwiedzie, tłuszcz wieloryba, tylko co pochwycone foki, a niekiedy i angielską złotą monetę. Pary leczył ubogich, to jest nieposiadających dostatecznej ilości psów, darmo, ale za to bogatsi zniewoleni byli do składania hojnej daniny przez odstąpienie na rzecz lekarza umówionej ilości tych czworonogów. Byli tacy co woleli cierpiéć a nawet umrzéć, aniżeli rozstać się z ulubionemi zwierzętami, inni jednak mniej wytrwali, choć z bólem serca, czynili zadosyć życzeniu doktora.

Tym sposobem Octaw Pary przyszedł do posiadania dwunastu psów, które oddał pod szczególny nadzór dwóch skontraktowanych przez siebie eskimosów, chociaż i sam nie szczędził starań, gdyż zawsze marzył o podróży saniami, aż do punktu centralnego północnego bieguna.

Człowiek taki mógł być bardzo użyteczny dla naukowej kolonii, nic więc dziwnego, że major Greely zboczył z drogi, aby go zabrać z sobą.

W miarę posuwania się ku północy, coraz gęstsze lody otaczały okręt, ale rozbite na drobne części i pozbawione siły spójności, nie czyniły prawie żadnej przeszkody w dalszej żegludze. Sternik często bardzo nie uważał za właściwe usuwać ich na stronę za pośrednictwem żelaznych drągów. Działo się to w połowie Lipca, opisany więc stan rzeczy był zwykłym objawem w tych okolicach, równie jak pyszne widoki spowodowane przez odbicie promieni słonecznych, od zawieszonej w powietrzu zmarzniętej pary wodnej.

Niezadługo wierzchołek góry Sanderson u stóp której znajdował się Pary, znikł w oddaleniu; Proteusz płynął śmiało wzdłuż zatoki Melville i załoga pełna dobrej otuchy, nie wątpiła ani na chwilę o dalszem powodzeniu. Lodowe bryły zwiększały się wprawdzie znacznie, ale termometr był powyżej zera, zamarzła więc woda nie stawiała wielkiego oporu i z łatwością była rozbijaną przez okrętowe dzidy.

Lipiec i Sierpień są jedynemi miesiącami, w których podróż po Lodowatym oceanie jest możliwą; w tym bowiem czasie odłamy lodu zmniejszają się znacznie i mięką, a osłabiona spójnia sprowadza ciągłe zmiany w ich położeniu, co zazwyczaj połączone jest z ogromnym łoskotem, dającym się słyszéć na kilka mil odległości.

Po kilku dniach podróży bez żadnego wypadku, czuwający na wierzchołku masztu, zwiastował ogromną płytę lodową zagradzającą dalsze przejście. Na wierzchołku tej góry płynącej, spostrzeżono białego niedźwiedzia, trzymającego w pazurach na wpół pożartą fokę i patrzącego z widocznem zadziwieniem ale bez obawy na zbliżający się okręt.

Posłana celnie kula, posłużyła do zwiększenia wiezionych zapasów. Wystrzał wzruszając powietrze, oddał inną jeszcze usługę, lodowa bowiem góra poruszyła się w swej podstawie, a rozdzielając się na dwoje, dozwoliła Prometeuszowi przepłynąć wśród jej wnętrza.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z pod naszej strzechy.

Dziwnie się plecie na naszym... biednym świecie! Gdzie się zwrócić, wszędzie burze i to nie w szklance wody, ale burze prawdziwe, pełne grozy i zniszczenia lub brzemienne gniewem słusznie wywołanym.

We Włoszech rzeka Arno wylała, niszcząc mnóstwo włości nadbrzeżnych i zakładów przemysłowych. Na zachodniem wybrzeżu Francyi zerwał się orkan tak gwałtowny, że w wielu miejscach jak: Tronville, Deauville, fala morska porozrywała budynki kąpielowe, w Hawrze kilka okrętów zdruzgotała, unosząc majtków z pokładu, a w głębi kraju, szalony pęd wichru postrącał owoce niedojrzałe z drzew, niwecząc nadzieje przyszłych korzyści, włościan Normandyi i Bretanii.

Największą jednak niespodziankę wzburzone żywioły, sprawiły Londynowi, pokazując do czego są zdolne, gdy się rozhulają. Spadła tam bowiem tak nawalna ulewa, że w południowych okręgach miasta potworzyła formalne jeziora, mieszkania w suterynach zalała, zmuszając mieszkańców do ucieczki; w niektórych miejscach nagromadziła wody na trzy stopy głębokości, a przy pomocy wichru, który jej wiernie towarzyszył, nawywracała dosyć dorożek i powozów, jakby wózków dziecinnych, dla lalek przeznaczonych. Sprawiwszy się tak brutalnie z Londynem, burza popędziła z jednakową gwałtownością w dalsze okolice, pustosząc wszędzie pola i ogrody i Bogu dzięki, że nie przyszła jej ochota powędrować przez morze na ląd stały Europy, bo z pewnością o nasby zawadziła. Do guzów bowiem, szczęścia nam nie brak i gdyby niemi można było handlować, już dawno wyszlibyśmy na bogaczów.

Ale i z Ameryką orkan burzliwy obszedł się prawdziwie po amerykańsku. Przeleciawszy przez całe obszary Stanów Zjednoczonych, bardzo wiele okrętów przy pobrzeżach zdruzgotał, mnóstwo ludzi potopił, duże gmachy drewniane poprzewracał, w wielu miastach z połowy domów pozrywał dachy, poniszczył całe plantacye tytoniu i w samem jednem mieście Charlestonie szkody oszacowano na milion dolarów.

Burze te jednak choć wielkie, miliony strat przynoszące, niczem są w porównaniu burzy wywołanej jednem skinieniem palca, wielkiego kanclerza niemieckiego.

Są ludzie szczególny posiadający talent tworzenia sobie nieprzyjaciół. Pan Bismark w dwójnasób go posiada, czego mu nikt zapewne nie zazdrości.

Podobnie utalentowani, niechęć dla siebie wywołują w jednostkach, może nawet we wszystkich bliżej z nimi żyjących; pan Bismark potrafił oburzyć przeciw sobie całe społeczności a nawet poróżnić je z tem, któremu przewodniczy.

Dziś na niemców krzyczy cała Słowiańszczyzna, anglicy boczą się, hiszpanie wściekają, nawet niemcy austryaccy kręcą nosem a we wszystkich stronach wznosi się jeden wielki okrzyk: *odwet!* któremu wszyscy przyklaskują.

W tym nawet duchu przemawiają „Petersburskie Wiedomosti" i „Journal de St. Petersbourg", a to z okoliczności listu jednego z fabrykantów w Sosnowicach, pana Schön, pomieszczonego w którémś czasopiśmie rossyjskiem. Otóż ten pan Schön, niemiec rodem ale poddany rossyjski, podał prośbę o pozwolenie rozszerzenia działalności swej fabryki, co mu przez ministeryum odmówionem zostało, a to z powodu obawy niemczenia pogranicza od strony królestwa. Dotknięty tem pan Schön, powiada w swym liście, iż jeżeli pogranicze to niemczy się, jeżeli do Sosnowic, Łodzi i Zgierza płyną tysiące pruskiej ludności roboczej, to winna temu wyłącznie bierna polityka, jaka w tym razie jest prowadzoną, brak zakazu sprowadzania niemców do fabryk krajowych.

Gdy go więc nie ma, cudzoziemscy dyrektorowie, technicy i robotnicy napływają z obczyzny, młodzież zatem tutejsza nie poświęca się odpowiedniemu wykształceniu i tym sposobem przemysł choć wzrasta, ale z korzyścią nie dla nas, tylko dla obcych. Zakaz przyjmowania ich do fabryk stan rzeczy odrazuby zmienił i nie wyszłoby może roku a ani jeden cudzoziemiec przy fabrycznem nie znalazłby się zajęciu.

Byłby to zatem odwet choć z zemsty powstały, ale właściwie nie nią wywołany, tylko rozumnem pojęciem własnego interesu.

Prywatnie w tym kierunku rozwinięto odpowiednie działanie, tu i owdzie wymawiają miejsca niemcom oficyalistom, dyrektorom, robotnikom, pozrywano porozumienia o kupno różnych fabrykatów niemieckich, postanowiono sprowadzać je wyłącznie z Francyi, nic u Niemców w sklepach nie kupować... wszystko to dobre nawet bardzo dobre, ale bez wyższej pomocy do właściwego pożytku nie doprowadzi.

W jednem z miast niemieckich, kobiety ogłosiły się jako nauczycielki fechtunku. Nicby to może nie było złego, gdyby i ręką uzbrojoną rapirem umiały karcić zuchwalców nieszanujących ich godności; ale z fechtunkiem staje zaraz w myśli, kufel w ręku, cygaro w ustach i piosnka bahantki z sykiem jak gadzina babrząca się w bagnisku.

W drugiem znów mieście, kobiety wyzwały się na pojedynek o obrazę honoru, w tym celu nauczyły się strzelać, nawet wybijać oczy z kart, rozbijać jaja w powietrzu, gdy jednak przyszło do akcyi, wyzwana odmówiła wystrzału, domagając się go od przeciwniczki. Serdeczny uścisk powaśnionych zakończył tak groźne nieporozumienie; sekundantki zarumieniły się z radości a pojedynkujące ze wstydu, że zapalczywość tak daleko posunęły.

O kobietach w domach gry, już dawno pisano: obecnie córy Albionu równie pełne pychy i samolubstwa, jak ich bracia i ojcowie, ogarnione zostały gorączką gry giełdowej. Na najarystokratyczniejszych ulicach Londynu, pootwierały bióra meklerskie wyłącznie dla siebie.

Kundmanki za pomocą telefonów, w każdej chwili mogą się dowiedzieć z biór takich o falowaniu kursów na giełdzie. Od godziny też 11 przed południem do 4-ej po południu, roją się przed biurami eleganckie ekwipaże z bogatą liberyą a właścicielki ich z wypieczonemi rumieńcami przebywają w murach biur z największym zbytkiem urządzonych.

Kapie też tam złoto, ślnią się posadzki, biją w oczy aksamity, gdy w tej samej chwili może na przedmieściu nie zbyt oddalonem, gromada wygłodzonych nędzarzy, brudnych, chudych, odzianych łachmanami, ugania się za kotem, psem, a nawet szczurem, aby go uchwycić i zjeść jako przysmak wielce upragniony a rzadko zdarzający się.

Donoszą gazety, że w Ameryce zaczęto wyrabiać gorsety papierowe podług formy zdjętej z biustu Wenus milotańskiej. Trwałe, lekkie i w użyciu bardzo przyjemne nie mają fiszbinów, które ciśnieniem na organizm wywierają wpływ bardzo szkodliwy.

W Kuryerze zaś Warszawskim, pomieszczono wiadomość wielce ciekawą o Zofii Kodrębskiej, która w największej tajemnicy przebrawszy się po mężku, pod nazwą Wańkowicza w roku 1824 weszła do ósmego pułku piechoty, byłego wojska polskiego i nie obudzając najmniejszego podejrzenia, zyskała przychylność kolegów a ówczesny pułkownik, Jan Skrzynecki, wziął ją do siebie na przybocznego ordynansa.

Popczas kampanii na placu boju, ten sam Skrzynecki obdarzył ją krzyżem Virtuti militari i stopniem podoficerskim, ale gdy w następnej bitwie ranna oddaną została do szpitala, sekret lat sześć utrzymywany wydał się.

Tajemnica jednak pozostała w małem gronku osób bliższych zranionej, tak że wiadomość o żołnierzu kobiecie nie przeszła do ogółu.

Rosła, zgrabna i przystojna, z głosem nizko tenorowym, pomimo kilku starających się o jej rękę, pozostała niezamężną i przez dłuższy czas przebywała zagranicą u rodziny polskiej R. Kiedy panna R. wyszła zamąż, Kodrębska jej towarzyszyła i otoczona powszechnym szacunkiem doczekała się lat 87 życia: zmarła w Sierpniu b. r. w Wieniatyczach.

Staruszka z przeszłością swoją wcale się nie taiła i wszystkim pokazywała drogie dla siebie pamiątki, mundur wojskowy i krzyż otrzymany na placu boju.

TEATR.

Mąż z grzeczności, nowa, oryginalna komedya w 3 aktach *Adolfa Abrahamowicza* i *Ryszarda Ruszkowskiego*.

Dawno już sztuka tego pokroju nie miała takiego powodzenia na naszych scenach, jak „Mąż z grzeczności" na scenie Teatru Letniego. Kilkanaście przedstawień, prawie tuż po sobie następujących, przy pełnej zawsze sali widzów, znaczy coś nawet w Warszawie, gdzie publiczność, przyznać jej trzeba tę zaletę, ma szczególną predylekcyę do sztuk oryginalnych, a artyści grywają je zwykle *con amore*. Jakoż „Mąż z grzeczności" z wielu względów zasłużył na to powodzenie, a jeżeli przyjmiemy zasadę, że głównem zadaniem farsy jest pobudzenie do wesołości i wywołanie serdecznego śmiechu u widza, to zasłużył na nie w zupełności. Humor swobodny, dowcip niewymuszony, płodny w koncepta, które wyborna znajomość efektów scenicznych pozwala autorom wyzyskać doskonale, są głównemi sztuki zaletami, a trafne, lubo w karykaturę przechodzące, jak zwykle zresztą w farsie, naszkicowanie kilku postaw typowych, nadaje pewną świeżość nie zupełnie zresztą nowej treści.

Jest-to znana historya oddawna męża... safanduły, który w końcu, podżegany przez starszego od siebie przyjaciela, bierze na kieł i zdobywszy się na energią, odzyskuje utracone przez safandulstwo nazwisko. Tylko safandulstwo pana Hilarego ma tę stronę nową, że pochodzi z nadmiaru grzeczności. Pan Hilary przez grzeczność żeni się z Wandą, siostrzenicą kapitana, który jako przyjaciel jego ojca, postanowił go z nią ożenić. Nie kocha on Wandy, nie myśli wcale o ożenku; ale ponieważ niegrzecznie byłoby odrzucać narzucony sobie związek, więc małżeństwo przychodzi do skutku. Po ślubie rozkochuje się w żonie, ale cóż z tego, kiedy nie przestaje być grzecznym, do niezniesienia; w niczem sprzeciwić się żonie nie śmie, przez grzeczność wykonywa każdą jej wolę, każde najmniejsze zachcenie, ale zarówno grzecznym jest dla wszystkich, nawet dla sług; przez grzeczność wreszcie nie śmie... przestąpić progu sypialnego pokoju żony, którą to wszystko doprowadza do ostatniej niecierpliwości, tak, że postanawia zerwać nieznośny związek i zapowiada mężowi, żeby do jutra, do południa najdalej, wyniósł się z mieszkania.

Pan Hilary, przez grzeczność, obiecuje i do tego rozkazu ściśle się zastosować, lubo nie pojmuje co mogło przeciw niemu tę burzę wywołać, bo nie może sobie przypomnieć, żeby jakiejkolwiek niegrzeczności dopuścił się względem żony. Dziwi go także niepomału, że grzeczność jego zamiast znaleźć uznanie, wywołuje oburzenie, zarówno u sług jego własnych, jak u sąsiada lokatora a nieufność u właściciela domu, który nie dowierza zbyt grzecznym lokatorom. Na to zjawia się przyjaciel, który otwiera mu oczy i zachęca do zmiany postępowania. Przekonany pan Hilary, próbuje najprzód sztucznie wywołanej energii na zdziwionej służbie, a następnie tak się z nową swoją rolą oswaja, że stawia czoło nietylko mamie i cioci żony, które sekundowane przez pana Dyonizego, starego kawalera, wzdychającego oddawna do ręki Wandy, chcą go gwałtem z żoną rozdzielić, ale nawet samemu kapitanowi, który przekonawszy się o jego safandulstwie, także przechodzi do przeciwnego obozu.

Wtedy przybywa Hilaremu na pomoc niespodziany a potężny sprzymierzeniec. Wanda, która zrazu kochała męża i tylko jego bezgranicznej grzeczności znieść nie mogła, ujrzawszy jego metamorfozę, staje po jego stronie i rzecz kończy się na tem, że Hilary, wobec zdumionej rodziny, z tryumfem prowadzi żonę pod rękę... do jej pokoju.

Ba! żeby się to rzecz na tem kończyła, ale właśnie, że się nie kończy. Po tej kulminacyjnej chwili akcyi, następuje jeszcze jeden akt cały, który wprawdzie otwiera pole dla kilku scen bardzo komicznych, bardzo zabawnych, bardzo dobrze zrobionych, ale nic nie posuwa dalej i mimo swojej względnej wartości, stanowi nadzwyczajny niby dodatek, będący ostatecznie grzechem przeciw budowie sztuki. Jest-to może jedyny zarzut, choć przyznać należy dość ważny, jaki autorom uczynić można, a który tem słuszniej ciąży na nich w obec znajomości sceny i jej efektów, jakiej w ciągu sztuki składają dowody. Wprawdzie w farsie budowa mniej ma znaczenia niż w sztuce poważniejszego pokroju, ale nie szkodzi nigdy nawet zabawce, gdy według wymagań sztuki jest zbudowaną.

„Mąż z grzeczności" grany był koncertowo. Pan Tatarkiewicz był znakomitym Hilarym; mianowicie stopniową zmianę dokonywającą się w jego charakterze, przeprowadził po mistrzowsku, poprawiwszy grą swoją usterki roli, w której przejście to dokonywa się nieco za raptownie. Wybornym kapitanem austryackim, poczciwym rubachą był pan Leszczyński; forysia jego, Wojtka, szarżując nieco, ale z trafnem pochwyceniem ogólnej charakterystyki, odegrał pan Śliwiński; Wandę grała panna Wisnowska, jako wytrawna artystka,

która nawet brak naturalnego uczucia, wyborną robotą zastąpić umie; bardzo przyzwoitym był pan Grzywiński jako Dyonizy Kopciulewicz, a p. Ładnowski ze zwykłą inteligencyą umiał nadać pewien charakter najbledszej ze wszystkich postaci Jędrzeja, przyjaciela Hilarego. Dobrą też wcale subretką była panna Mirecka, a panie: Niewiarowska, Nowakowska, Micińska, Szymanowska (wybornie pomyślaną postać, której cała rola polega na kilkudziesięciu powtórzeniach na różne tony: umhu!), panowie: Chomiński i Waliszewski, w mniej wybitnych rolach, harmonijnie dopełniali całości, zdobywając dla autorów i dla siebie rzęsiste a zasłużone oklaski.

ROZMAITOŚCI.

Piecza o zdrowie publiczne w Paryżu.

Paryż pierwszy zaprowadził w swych murach nową zupełnie instytucyą, która zwolna znajdzie zastosowanie w innych wielkich miastach europejskich.

Francuzi są pomysłowi, ale pomysłowość ich nie zawsze jest zwróconą we właściwym kierunku. Szczególniej w ostatnich czasach drugiego cesarstwa, a w pierwszych latach trzeciej rzeczypospolitej, chemia nastręczyła ludziom przewrotnym wiele środków do zaprawiania różnego rodzaju artykułów, jak: pożywienie, napoje, posługujące do ozdoby różnego rodzaju kosmetyki, nareszcie do mniej więcej zręcznego naśladowania, prawdziwie pożytecznych kompozycyi, skutkiem fałszowania utracających swe przymioty i stających się szkodliwemi. Wobec przemysłu tego rodzaju, przybierającego coraz szersze rozmiary, publiczność była bezbronna; jad trucizny różnemi drogami, choć zwolna przenikał do organizmu i prócz ogólnego osłabienia spowodowywał wypadki śmierci, których długi czas sztuka lekarska nie umiała wytłomaczyć.

Nareszcie skutkiem długiej obserwacyi i wzajemnego porozumienia się lekarzy i chemików, odkryto źródło złego i postanowiono mu zapobiedz.

W tym celu w Paryżu urządzone zostało wielkie laboratoryum, w którem pracuje od rana do nocy trzydziestu specyalistów, zajmując się niczem innem, jak tylko rozbiorem okazów nadesłanych przez interesowane osoby. Każdy bez wyjątku ma prawo podejrzany przedmiot, po opieczętowaniu go i czytelnem wypisaniu na opasce swego nazwiska, złożyć w pierwszem lepszem policyjnem biórze do urzędowej analizy. Tego samego dnia przesłany on jest gdzie należy i ulega bezwłocznemu rozbiorowi, którego koszta ponosi miasto Paryż, zwalniając tym sposobem prywatnych od potrzeby wynagradzania oddanej im usługi. Z laboratoryum tem zostają w ścisłym związku ustanowieni inspektorzy, mający obowiązek rozciągania dozoru nad zakładami publicznemi, jak: targi, kawiarnie, restauracye, piwiarnie i t. p. W złożonym raporcie prefektowi policyi przez dyrektora laboratoryum, pana Karola Girard, obejmującym 815 stronic in 4-to, znajdujemy wiele bardzo ciekawych szczegółów, dotyczących czynności ustanowionych inspektorów i wydanych dekretów, skutkiem których w jednym tylko roku 1883 zniweczono 1388 artykułów żywności, zniewolono do odpowiedniego zmodyfikowania 1200 pomp do ciągnienia piwa, a do odnowienia 2534 naczyń; nadto zaniesiono 688 skarg do sądów z powodu popełnionych nadużyć. Największą jednak pracujący w laboratoryum specyaliści, oddali usługę publiczności, biorąc pod bardzo szczegółowy rozbiór rozmaite mieszaniny, posługujące do farbowania włosów, do odmładzania twarzy, do nadawania oczom żywości i t. d.

Przemysłowcy zajmujący się wyrabianiem takowych, ręczą za ich nieszkodliwość, gdyż podstawą ich ma być roślinna materya, nieprzeciwna wcale zdrowiu ludzkiemu.

Tymczasem nielitościwy pan Girard wraz ze swymi pomocnikami, udowodnił w sposób niezostawiający najmniejszej wątpliwości, ich szkodliwy wpływ na organizm, bo prawie wszystkie bez wyjątku, zawierają cząstki mineralnych trucizn.

Do kompozycyi farbujących włosy wchodzi nitrat srebra oddziałujący bardzo szkodliwie na oczy. *L'eau des fées*, *l'eau Figaro*, *l'eau de Floride*, *le lait antephelique*, *le lait Manilla*, *le lait de Ninon le poudre epilatoire* i t. d., obejmują albo miedź, albo ołów, albo nareszcie arszennik, a szkodliwości tych pierwiastków nie trzeba udawadniać. Tyle upowszechnione a posługujące do nadania białości twarzy, mączki ryżowe i migdałowe są bardzo zdradliwe, zawierając w sobie węglan ołowiu, będący podstawą ich działalności, gdyż inaczej mączka sama nie oparłaby się wpływowi ciepła i wyziewom skóry.

Kończąc rzecz dotyczącą tego przedmiotu, przywiedziemy zdanie jednego z dziennikarzy tutejszych. Kobiety, mówi on, do lat pięćdziesięciu nie powinny posługiwać się kosmetykami, bo największą ich ozdobą jest życie i zdrowie z oblicza ich tryskające.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** **W bieżącym tygodniu** ogół nasz poniósł nader bolesną stratę. Zygmunt Sumiński, jeden z najzacniejszych pracowników pióra, po strasznych cierpieniach, zakończył życie w Warszawie, gdzie od pewnego czasu na kuracyi przebywał.

Zmarły przedwcześnie, bo w czterdziestym roku życia, które nam obiecywało tak wiele, był synem Damazego i Florentyny z Jeżewskich, właścicieli Kłokocka w gubernii Płockiej.

Dzielny wojak, były oficer wojsk polskich i zacna jego towarzyszka, wzór żon i matek, wychowali syna w poszanowaniu dziejowych tradycyi i religijnych zasad. Ziarno rzucone na dobrą rolę rozwinęło się bujnie, młody Zygmunt w najwcześniejszej młodości stawał już śmiało w szeregu ludzi broniących dobrej sprawy. Wiele przecierpiał i przebolał wiele, niejeden ostry cierń wpłótł się w wiązankę jego życia a jednak zacne serce zachowało do ostatka całą słodycz, wyrozumiałość i skarby współczucia na niedolę bliźnich, którym chętnie spieszył z pomocą.

Pracował w dziennikarstwie utrzymując jednocześnie dom komisowy, pełne obywatelskich poglądów feljetony jego pióra, umieszczane w „Niwie", jak również późniejsze ze wsi korespondencye do „Wieku", budziły ogólne zainteresowanie wśród inteligentnej publiczności.

Chory oddawna, szukał ratunku u lekarzy wiedeńskich, lecz napróżno. Z prawdziwie chrześciańską rezygnacyą oczekiwał śmierci i był do niej zupełnie przygotowany.

W niedzielę dnia 20 Września, czysta dusza zacnego pracownika rozstała się z tym światem; niechaj mu lekką będzie ziemia, którą jak matkę ukochał gorąco i całe życie dla jej dobra poświęcił.

Zgon zacnego człowieka i serdecznego kolegi dotknął wszystkich boleśnie, pamięć Zygmunta przeżyje niejedno pokolenie, gdyż na karcie społecznej wypisaną jest złocistemi głoski.

*** **Konkurs dramatyczny.** Termin nadsyłania utworów dramatycznych, na konkurs imienia Wojciecha Bogusławskiego, upływa dnia 31 Grudnia bieżącego roku.

Przyjmowane będą utwory dramatyczne wszelkiego rodzaju, wierszem lub prozą, powinny jednakowoż, obok prawdziwej wartości literackiej odpowiadać wszelkim wymaganiom sceny oraz wypełniać całe przedstawienie.

Komitet wyznacza dwie nagrody: pierwsza 1000 rs., druga zaś 500 rs.

Sztuka otrzymująca pierwszą nagrodę, wydrukowaną zostanie z funduszów konkursu, z dołączeniem życiorysu zasłużonego w teatrze Wojciecha Bogusławskiego i oddaną na korzyść autora, niezależnie od przyznanej nagrody.

Utwory oceniać będzie komitet złożony z panów: Władysława Bogusławskiego, Jana Brzezińskiego, Dyonizego Henkla, Kazimierza Kaszewskiego, Józefa Keniga, Włodzimierza Kretkowskiego, Jana Królikowskiego, Edwarda Lea i Wacława Szymanowskiego.

Spodziewać się należy, że autorowie licznie stawią się do apelu, a literatura dramatyczna zyska parę cennych nabytków.

*** **Stowarzyszenie opieki nad choremi** organizuje się w naszem mieście. Że potrzebnem jest ono, każdy przyzna, gdyż mając na celu podawanie pomocy lekarskiej, oraz zaopatrywanie członków w środki apteczne i dyetetyczne, spełniać może znakomite posługi. Pożądanem byłoby jak najszersze propagowanie użytecznych celów towarzystwa, wciąganie rodzin biednych pracowników wszelkiego fachu, którzy na swoich barkach dźwigają losy kilku jednostek, słowem jak najobszerniejsze zastosowanie „opieki".

Osoby zajmujące się utworzeniem instytucyi, wypracowały już główne zasady ustawy. Warunki dla stowarzyszonych bardzo łatwe, a mianowicie wpis rs. 2, opłata roczna rs. 6, lub 3 w miarę możności. To ostatnie szczególniej powinnoby zachęcić wielu, gdyż zapłacenie tak małej kwoty usuwa bardzo ważną troskę, jaką jest dla biedaków wydatek na kuracyę, w razie choroby. W takich wypadkach, nawet rodzina lubiąca oszczędność, ład i harmonię „przychodu z rozchodem", zwłaszcza jeżeli choroba się przeciągnie, musi z konieczności dostać się w szpony lichwiarzy, z czego potem wybrnąć bardzo jest trudno.

Ojcowie rodzin powinniby wziąć tę nową instytucyę do serca, pomoc w chorobie, lekarz i apteka, to środki bardzo ważne, o których zapewnienie warto się postarać.

*** **Wystawa Wileńska** w dniu 17 b. m. otwartą została, pomimo, że głoszono ostatniemi czasy, że termin odłożonym został o dni kilka. O godzinie 2 po południu, na plac Katedralny zjeżdżać się zaczęły władze i osoby zaproszone, a po upływie kwadransa otwarto wystawę dla publiczności, której odrazu napłynęło wiele. Ogółem, dnia pierwszego, dzięki sprzyjającej pogodzie, zwiedziło wystawę przeszło 600 osób, pomimo krótkiego czasu (od 2 do 6 po południu) i dość wysokiej w tym dniu ceny wejścia.

Jest-to pierwsza wystawa w Wilnie i może dlatego, że pierwsza, przedstawia się bardzo skromnie; we

wszystkich działach inwentarza spotykamy sporo braków: wielu wystawców, którzy mieli nadesłać okazy cofnęli deklaracye, nie wiadomo z jakiej przyczyny. Już-to u nas, w ogólności, o pierwszy krok bardzo trudno, każdy choćby najlepszy pomysł, strasznie powoli dojrzewa, jeżeli, co najczęściej ma miejsce, nie rozbije się w zawiązku o tysiące przeszkód.

Wystawa obejmuje cztery działy inwentarza, a mianowicie: koni, bydła, owiec i trzody chlewnej. W dziale koni jest do rozdania najwięcej nagród: 1 medal złoty, 5 srebrnych, 5 bronzowych, 5 listów pochwalnych i kilka premjów pieniężnych.

Pobyt w Wilnie podczas wystawy będzie wogóle dość urozmaicony. Prócz kilku zabaw publicznych, jakie w tym czasie odbyć się mają, zapowiedziany jest cały szereg koncertów. Wystąpić mają między innemi p. Helena Hermanówna, p. Stanisław Barcewicz, p. Malwina Cherubini (lublinianka), Teresina Thua, Rappoldi Kahrer pianistka, oraz Aniela Joachimowa śpiewaczka.

⁂ **Strzeżmy się!** Liczba indywiduów wyzyskujących dobrą wiarę poczciwców wzrasta w przerażający sposób. Całe falangi faktorów, delikatnie nazwanych pośrednikami, żyją nie orząc ani siejąc, bez pracy i troski, a co większa, zdobywają nieraz znaczny majątek.

Oto świeży a smutny przykład, który dowodzi jak niebezpiecznie wdawać się z faktorami:

Pan G. namówiony przez jednego z takich jegomościów, zrobił zamianę odłużonego domu, na wieś z równie obciążoną hypoteką.

Ten sam faktor umiał w zręczny sposób wpłynąć na drugą stronę, a mianowicie na pana Z. i zamierzony układ do skutku doprowadził.

Szacunek nieruchomości miejskiej i folwarku był nazbyt podniesiony, opłata stemplowa wypadła w skutek tego dość znaczna, pośrednik zaś kontentował się za swoją pomoc trzema tysiącami rubli od każdej strony. A że był to człowiek uczynny i grzeczny, nie wymagał nawet gotówki, lecz tylko dla *pewności i pamięci* powpisywał te sumy na hypoteki.

Przeszedł rok od czasu, w którym tranzakcya dokonaną została, panowie Z. i G. nie mogli w terminie się wypłacić, więc usłużny faktor-wierzyciel wystąpił z procesem subhastacyjnym. Jest prawie pewność, że nabędzie dom i folwark, pośrednictwo więc przyniesie mu znakomite korzyści. Obie ofiary wyzysku zrobiły na zamianie fatalny interes, a w rezultacie wyjdą ze swych posesyi na czysto. Oby ten smutny fakt stał się nauką dla wielu!

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

⁂ **Karykatury i satyry angielskie** pisane w swoim czasie na nieśmiertelnego wroga, jakim był dla królestwa Wielkiej Brytanii Napoleon I-szy, ukazały się obecnie w dwóch tomach, zebrane przez Johna Ashton.

Niektóre z nich odznaczają się pewną oryginalnością, wszystkie zaś bez wyjątku są kolące i ostre.

Napoleon przedstawiony w nich jest jako pospolity, mały, wychudły dorobkiewicz korsykański, ośmielający się na czele karłów mierzyć z olbrzymami. (Ci ostatni, naturalnie anglicy). Jako żołnierz nosi kapelusz i buty, w których cały mógłby się schować, a najzabawniej wygląda przy boku otyłej Józefiny, która wypróżnia jeden puhar za drugim.

Jako cesarz przedstawia piekarza, wygniatającego wraz z Talleyrandem, piekarczykiem, ciasto, by z niego wyrobić tuzin królów.

Na Elbie dokonywa przeglądu nowych poddanych, składających się z czterech chłopców i przyrzeka im, że będą królami.

Te złośliwe objawy humoru może w swoim czasie miały pewną zaletę, a co najważniejsza usprawiedliwione były wypadkami chwili, dziś zaś, gdy ciało „korsykanina" po świetnem i burzliwem życiu w proch się rozpadło, a dusza wiecznym cieszy się spokojem, stało się musztardą po obiedzie.

⁂ **Antoni Rubinstein** zamierza podobno usunąć się zupełnie z widowni świata artystycznego i opuścić na zawsze estradę koncertową, która była świadkiem niezliczonych tryumfów wielkiego mistrza. Zanim jednak nastąpi ta dobrowolna abdykacya króla fortepianu, artysta zamierza poraz ostatni wystąpić w całej wspaniałości i dać we wszystkich okolicach Europy po ośm koncertów, mających obejmować dokładny obraz literatury fortepianowej wszystkich epok. Ostatni z tych koncertów ma być za każdym razem poświęcony utworom wykonawcy.

Dochód z powyższych koncertów Rubinstein przeznacza na cele dobroczynne.

Jeżeli wiadomość, którą podały nam zagraniczne pisma, rzeczywiście jest prawdziwą, możemy się spodziewać, że „król tonów" nie zapomni o Warszawie i da się także słyszeć u nas.

⁂ **Nieśmiertelniki.** Patrząc na skromny, ku ozdobie grobów przeznaczony wianuszek złotych nieśmiertelników, nikt nie pomyśli pewno, ile tysięcy rąk zajmuje się hodowlą tego kwiatka. W okolicach miasta Ollionles w Prowancyi, znajdują się rozległe pola zasiane nieśmiertelnikami, a roczny ich zbiór przynosi do kilkuset tysięcy franków.

Nieśmiertelnik znany jest w Europie od 1629 roku i pochodzi z Krety, dopiero jednak w naszem stuleciu zaczęto go hodować w celach przemysłowych. Płodność tego kwiatka jest bardzo obfitą: jeden hektar ziemi daje ich 7,000 kilogramów. Zbiór uskutecznia się w Maju przed zupełnym rozkwitem, następnie suszą się na powietrzu, poczem wiązane w paczki ważące po 250 gramów, układają się w skrzynki drewniane. Cena skrzynki zawierającej 100 paczek wynosi od 55 do 60 fr.

Zbiorem kwiatów oraz suszeniem i układaniem zajmują się wyłącznie kobiety i dzieci, a przemysł ten kwitnie przeważnie w wioskach: Valette, Sollies, Saint Nazaire i Bandols w departamencie Var.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubranie dla dziecka. Długa sukienka dla dziecka noszonego na ręku, uszyta z białego batystu, ma przód fartuszkowy zszyty z haftowanych wstawek i zakończony wokoło falbanką haftowaną. Wokoło sukienki kilka drobnych zakładek. Kapotka batystowa zdobna koronką i wstążką.

Ubranie piastunki. Spódnica, stanik gorsecikowy i część rękawów dane z grubego, wełnianego materyału i zdobne naszyciem z kolorowej wstążki. Fartuszek i bufy przy rękawach haftowane kolorową bawełną. Na głowie czółko aksamitne naszyte złotem i perłami.

Sukienka z vêtement, dla dziewczynki. Fałdy spódniczki przedzielone pasami wszywki; vêtement otwarte z przodu, dopełnione bufowaną kamizelką, ma przy plecach dodane upięcie z oddzielnego kawałka. Szarfa z pletni.

Ubranie spacerowe. Spódnica w pasy kolorowe, zaplisowana w fałdy, vêtement gładkie, zdobne aksamitem odmiennego koloru. Kapotka aksamitna zdobna wstążką.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się rycina kolorowa i ogłoszenie od redakcyi Roli.

Дозволено Цензурою. Варшава, 11 Сентября 1885 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego**, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (nowy 26).

Dodatek.